Nr. 18 We Lwowie, 15 września 1933 Rok 55



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO
WYCHODZI 1 i 16 KAŻDEGO MIESIĄCA

ODEZWA!

Zwracamy się do naszych najwierniejszych Członków, tych, którzy dotąd nas w ciężkich czasach nigdy nie opuszczali, z usilnem wezwaniem do wyrównania zaległych i bieżących wkładek po koniec roku. Do Nich zwrócimy się też w najbliższych dniach z indywidualnemi wezwaniami z podaniem wysokości zaległych kwot.

Zaznaczamy, że od Ich dobrej woli spełnienia naszej prośby a Swego obowiązku, zależy dalszy byt Towarzystwa i związanego z niem Wydawnictwa.

Niezależnie od tego wezwania skierowanego do naszych wiernych Druhów, poczyniliśmy, jaknajenergiczniejsze kroki przeciwko upartym restantom.

Z Wydziału Małopolskiego Tow. Łowieckiego.

WITOŁD ZIEMBICKI

SOBIESCIANA

Przyczynki do pracy: „Jan Sobieski jako myśliwy"

(Ciąg dalszy)

AVRIL.

Filip Avril, jezuita, bawił w Polsce przez 2 lata (1687 do 1689) w zamiarze, nieudałym zresztą, dostania się przez Rosję do Chin w celach misjonarskich[72]). Pochłonięty swem posłannictwem, mało uwagi poświęcał rzeczom ziemskim, — jak się o nim wyraził nasz historyk, Liske[73]).

Ale przecież i w jego opisach znajdziemy parę godnych uwagi szczegółów. Zainteresowała go mianowicie Litwa, z którą zapoznał się w drodze na wschód. W opowiadaniu jego, rzecz charakterystyczna, spotykamy ponownie, podobnie jak u Dalerac'a, wersję o dziecku, znalezionem w lesie, a wychowanem jakoby przez niedźwiedzie. Do wersji tej powrócimy raz jeszcze, przy jednym z następnych autorów.

„...W czasie tej to podróży (na Litwę) — pisze Avril[74]) — miałem przyjemność przekonać się o zadziwiającej obfitości pszczół, które to stanowią jedno ze źródeł dobrobytu Litwinów. Nie rozumiem, przez jaki to dziwny instynkt, owady te wybrały sobie miejsca tak ponure i ciemne, — one, z któremi Wirgiljusz każe się obchodzić tak ostrożnie. Bądźcobądź w lasach tutejszych spotyka się niezliczone gatunki roślin, one więc stanowią zapewne przynętę. Z drugiej strony pszczoły znachodzą tu wygodne i gotowe pomieszczenie w dziuplach drzewnych. Co prawda, nie miałyby one tu dostatecznej ochrony przed napastliwością niedźwiedzi, ale mieszkańcy umieją je przed niemi zabezpieczać.

„Te dzikie zwierzęta pasjami lubią miód, toteż nie dają spokoju pszczołom, wyrządzając temsamem szkodę wieśniakowi, dla którego rój pracuje. Dla ochrony barci przymocowuje się więc do drzewa rodzaj platformy, która otacza pień wokoło i najeżona jest ostremi kołkami, albo też osłania się wejście do barci rodzajem kraty z kolczastych gałęzi, które, nie tamując komunikacji pszczołom, stanowią dostateczną osłonę przed okrutnym napastnikiem.

„Ale lasy litewskie nietylko dostarczają zamieszkującej je ludności wosku i miodu. Dostarczają jej one także skór i futer. Łosie, lisy i niedźwiedzie są tu tak pospolite, jak w Rosji. I gdyby Polacy polowali na nie metodycznie i celowo, mogliby z łatwością odebrać swym sąsiadom część ich przemysłu.

„Podróżujący, jak to bywa, interesuje się wszystkiem, co mu w oczy wpadnie. Otóż i ja, zobaczywszy raz niedźwiedzia, informowałem się o różnych rzeczach, tego zwierzęcia dotyczących. Dowiedziałem się przedewszystkiem, że pomimo dzikiego wyglądu, niedźwiedź jest przyrodzonym przyjacielem człowieka. Poza wypadkiem z owem dzieckiem, karmionem przez niedźwiedzicę i znalezionem wśród gromady niedźwiedzi za czasów nieboszczki królowej polskiej, Ludwiki Marji, zdarzać się miały dość często podobne cuda. Zapewniano mnie, że w jaskini niedźwiedziej znachodzono niejednokrotnie całe i zdrowe dzieci ludzkie, porwane od wielu dni i na łasce tych zwierząt dłuższy czas pozostające. Pokazywano mi też Akademję, gdzie się tresuje niedźwiedzie, przeznaczone do oprowadzania od miasta do miasta po całej Europie. Miejscowość, w której uczą się one owych znanych ćwiczeń, aby się niemi potem z taką zręcznością i niby zmyślnością popisywać, zwie się Smorgoniem.

„Nie mogę się jednak powstrzymać od przytoczenia tu pewnego szczegółu, najbardziej zastanawiającego, a mianowicie, jak niedźwiedzie, w myśl stanowczych zapewnień tutejszych mieszkańców, spędzają zimę. Utrzymują, że przed nadejściem zimy, zanim jeszcze śnieg ziemię pokryje, niedźwiedzie karmią się pewną rośliną, mającą własności usypiające, a sen, wywołany nią, jest tak głęboki, że czyni je nieczułemi przez kilka miesięcy. — Opowiadano mi, w jaki sposób odkryto własności wspomnianej rośliny. Rzecz ma się podobnie, jak np. z kawą, posiadającą, jak wiadomo, własności wprost odwrotne.

„Otóż wieśniak pewien litewski, wybrawszy się przed zapadnięciem zimy na przegląd swych barci, spostrzegł z drzewa, na którem siedział, niedźwiedzicę z trojgiem lub czworgiem małych, zbliżającą się do tegoż miejsca. Zrazu sądził, że cała ta familja przyszła do miodu. Przestraszony chłop nie spuszcza więc z oka zwierząt i widzi, że zamiast wspinać się na drzewo, niedźwiedzica zrywa jakieś zioła, które spożywa sama i daje je dzieciom. Obawy jego ustąpiły w zupełności, gdy wreszcie cała gromadka zaczęła się tąsamą drogą, skąd przyszła, oddalać, tak, że mógł już bezpiecznie zleść z drzewa i zaspokoić ciekawość, co też to była za roślina, która tak smakowała niedźwiedziom. Zerwał kilka liści i jedząc je, ruszył w drogę. Zaledwie jednak uszedł kilka kroków, uczuł tak gwałtowną senność, że nie mogąc utrzymać się na nogach, rzucił się na kopicę siana i usnął.

„Zaniepokojona jego nieobecnością rodzina, zaczęła go oczywiście szukać. W kilka dni znaleziono go śpiącego, ale to tak twardo śpiącego, iż ani krzyki, ani wstrząsania nie mogły go rozbudzić. Po długich usiłowaniach, pod wpływem bólu, który mu zaaplikowano, przyszedł wreszcie do przytomności i opowiedział, co zaszło i jaka to roślina leśna tak go głęboko uśpiła.

---

[72]) Avril Philippe, Voyage en divers états d'Europe et d'Asie entrepris pour decouvrir un nouveau chemin à la Chine etc. Paris, 1692. (Drugie wydanie; 1693). — Przekład polski, pod tytułem: Podróż po różnych krajach i t. d. (bez podania nazwiska autora) dokonany przez księdza R. Ładowskiego, Warszawa 1791, niedokładny, z wielu opuszczeniami.

[73]) Liske, Filip Avril i pobyt jego w Polsce 1687—1689 — „Niwa", t. XI, Warszawa, 1877.

[74]) Podany tu ustęp cytuję z drugiego wydania (1693, str. 238) we własnym przekładzie polskim. W. t. zw. „przekładzie" Ładowskiego, jest on w zupełności opuszczony.

„Cokolwiek możnaby mniemać o tej historji, uwierzyć w nią lub nie, nie jest nieprawdopodobnem, że mogą istnieć rośliny jeszcze silniejsze od Opium, którego własności wszak wszyscy znamy. I jeśli Bóg dał wszystkim zwierzętom to, czego, jużto dla przyjemności, jużto dla zachowania życia potrzebują, to czemuż nie udzieliłby niedźwiedziowi, stworzeniu Boskiemu tak jak lew, lub jeleń, — znajomości zioła, które może mu starczyć za zdobycz, braknącą lub niedostępną w porze zimowej, wśród śniegu i mrozu."

ABBÉ F. de S.

Nieznany autor, ksiądz, podpisujący się jako abbé F. de S., który skreślił opis swej podróży po Polsce z lat 1688—1689[75]), opowiada, że po przybyciu do Warszawy w dniu 13 lipca 1688, udał się bezzwłocznie do Wilanowa, tu jednak króla nie zastał, gdyż bawił on na polowaniu. W Wilanowie zabawił nasz gość przez cały miesiąc. Narzeka okropnie na muchy i komary, czyniące pobyt w ogrodzie wilanowskim prawie niepodobnym. W dziedzińcu zastanowiły go oswojone wilki[76]): „Wylegują się one spokojnie — pisze o nich — obok psów myśliwskich, polują nawet razem i znoszą się z niemi doskonale, tylko, że chcą im zawsze przewodzić. Są i niedźwiedzie oswojone. Niedźwiedzie takie dają się dziecku 12-letniemu oprowadzać po wsiach i po miastach. Są one w tym kraju bardzo liczne. Mieszkają w lasach i umykają na widok człowieka".

Abbé F. de S. widział także zwierzyniec żółkiewski. „Jest on bardzo rozległy, powiada, położony jest za miastem, ale łączy się z niem za pośrednictwem pałacyku (myśliwskiego). Połowa przestrzeni zarośnięta jest drzewami, druga połowa — to łąki, zapełnione niezliczoną ilością dzikich zwierząt, jak jelenie, sarny i t. p. Cały zwierzyniec otoczony jest drewnianym parkanem"[77]).

W Jaworowie podobał się autorowi wielki staw rybny, przynoszący, wedle niego, 12.000 luidorów rocznego dochodu. Obecny przy łówce, powiada, że widział ryby wprost monstrualnej wielkości[78]).

CONNOR

Lekarz angielski Bernard Connor, który był jakiś czas medykiem przybocznym Jana III[79]), napisał potem 2-tomowe dzieło pod tytułem „The history of Poland"[80]). Nie jest to oczywiście w ścisłem znaczeniu historja, do tego bowiem pan Connor nie miał kwalifikacyj, ale zbiór wiadomości, zaczerpniętych z różnych źródeł i z opowiadania, z dodatkiem osobistych wspomnień. Przekład niemiecki tego dzieła nosi tytuł odpowiedniejszy: „Beschreibung des Königreichs Polen"[81]). Obok wielu opisów i informacyj dobrych i ciekawych, zwłaszcza dla cudzoziemca, nie brak u Connora i takich, które, pomimo pozornego udokumentowania, podane są bezkrytycznie. Connor nie pomija wiadomości o zwierzynie i łowach. I rzecz szczególna: znachodzimy tu znowu, jak u Dalerac'a i Avrila, wersję o dzieciach, karmionych w puszczy przez niedźwiedzicę. Autor zrazu sam zdaje się nie bardzo temu dawać wiarę, ale w końcu nie wie, co o tem myśleć.



Rycina, przedstawiająca dziecko, karmione przez niedźwiedzicę, z dzieła Connora: The history of Poland.

„Zapewniano mnie — pisze[82]) — niejednokrotnie na królewskim dworze, co zresztą jest zgodne z rozpowszechnionem w całem królestwie przekonaniem, że fakt wykarmienia i wychowania małych dziatek przez niedźwiedzie, nie należy do rzadkości, w lasach litewskich mianowicie, gdzie tych zwierząt jest bardzo wiele. Takie dziecko, za mego pobytu w Polsce, znajdowało się w jednym z klasztorów, jak już o tem wspomniałem w traktacie pod tytułem „De suspensione legum naturae". Był to chłopiec w wieku, jak można było sądzić, około lat dziesięciu, o wstrętnym wyglądzie, pozbawiony

[75]) **F. de S.**, abbé, Relation d'un voyage de Pologne fait dans les années 1688 et 1689 par Monsieur l'Abbé de la Chambre de l'Académie Française et Curé de St. Barthélemy, Paris, 1858. Wyszło jako tom III. wydawnictwa: Bibliothèque russe et polonaise. — Wyciągi zob.: Bartoszewicz J., Studja, j. w., tom II, str. 240—268, pod tytułem: Podróż bezimiennego księdza francuskiego do Polski za króla Jana III.

[76]) W oryginale francuskim str. 25. Tekst podaję we własnym przekładzie.

[77]) Str. 30.

[78]) Str. 31.

[79]) W roku 1694.

[80]) The history of Poland, in several letters to persons of quality, Vol. I, publish'd by the care and assistance of Mr. Savage, Vol. II, compos'd and publish'd by Mr. Savage, London, 1698.

[81]) Beschreibung des Königreichs Polen und Grossherzogtums Lithauen, durch D. Bernard Connor, Medicum in London, vormals Leibmedicum Königs Johannis III in Polen. Leipzig, 1700. (Dwie części razem, z bieżącą paginacją). — Wyjątki zob.: Niemcewicz J. U., Zbiór pamiętników o dawnej Polsce, t. IV, Warszawa 1822, str. 384. — Dzieło Connora w całości w przekładzie polskim nie było wydane.

[82]) Ustęp ten jak i następne, podaję we własnym przekładzie.

rozumu i mowy. Chodził tylko na czworakach i nic nie miał w sobie ludzkiego, prócz budowy. Wobec tego więc podobieństwa do istoty rozumnej, został ochrzczony. Niespokojny wciąż i nieokiełznany, miał ochotę do ucieczki. W końcu nauczono go chodzić prosto, stawiając pod ścianą, tak, jak się uczy psy służyć. Powoli przyzwyczajono go także do jedzenia przy stole, z czasem stał się nieco łagodniejszy i zaczął swe myśli wyrażać grubym i nieludzkim głosem. Gdy go jednak zapytywano o jego życie leśne, tyleż umiał o tem powiedzieć, co my o naszem życiu, spędzonem w kołysce. Opowiadał mi o tem sam król, w obecności senatorów i różnych wysokich osobistości. Ale w całym kraju można usłyszeć tosamo, Mówią także, że głodny niedźwiedź zjada dzieci ludzkie, spotkane bez opieki. Gdy jednak karmiąca niedźwiedzica napotka takie dziecko, unosi je ona do swej jaskini i tam karmi i wychowuje na równi ze swemi młodemi, dopóki jakiś myśliwy nie przyniesie mu uwolnienia, jak to się stało w roku 1669, wedle załączonego tu listu JE. Pana von Cleverskerk, posła holenderskiego"[83]).

Następuje in extenso ten list:

„Do pana Connora.

„Mój Panie!

„Czyniąc zadość pańskiemu życzeniu, podaję niniejszem krótką wiadomość o chłopcu, wykarmionym przez niedźwiedzie, którego w roku 1669 widziałem w Warszawie. Kiedy przybyłem do tego miasta na elekcję, spowodowaną abdykacją Jana Kazimierza, rozpytywałem się o stosunki miejscowe i o rzeczy, widzenia godne. Powiedziano mi wtedy m. i., że na przedmieściu, opodal pałacu Jana Kazimierza[84]), w klasztorze żeńskim, znajduje się chłopak, wychowany przez niedźwiedzie i znaleziony wśród nich na polowaniu. Udawszy się natychmiast na miejsce, ujrzałem bawiącego się przed klasztorem chłopca, lat może dwunastu lub trzynastu, który na mój widok podbiegł, jakby zaciekawiony mym strojem. Uchwycił najpierw jeden z mych srebrnych guzików, zbliżył go do nosa i zaczął obwąchiwać. Naraz skoczył do kąta i zaczął w szczególny sposób wrzeszczeć głosem, który, nie powiem, żeby nie był podobny do niedźwiedziego. Wszedłszy do zabudowania, trafiłem na kobietę, która opowiedziała mi dokładnie, w jaki to sposób tego dzikiego chłopca schwytano. Zawołała ona chłopca do siebie i pokazała mu wielki kawał chleba. Zoczywszy to chłopiec, wskoczył na ławę, jak zwierz, na czworakach, poczem podniósł się nagłym ruchem na nogi i w tej pozycji chwycił rękoma za chleb, zbliżył go do nosa, obwąchał, zeskoczył na ziemię i znowu wydał z siebie ów głos okropny, jak przedtem. Powiedziano mi, że nie umie on wcale mówić, ale jest nadzieja, że się nauczy, ma bowiem bardzo dobry słuch. Na twarzy jego zauważyłem blizny, pochodzące, jak sądzono, od podrapania przez niedźwiedzie. Oto wszystko, co pamiętam po tak długim czasie o tej sprawie. O prawdziwości jej niema powodu wątpić, bo historja zna podobne wypadki. Że to się może zdarzyć, łatwo właśnie w Polsce i na Litwie, jest bardzo prawdopodobne z następujących jeszcze względów. Jak wiadomo, kraj ten napadany jest często przez Tatarów. Napady takie przychodzą do skutku z niesłychaną szybkością, w krótkim więc czasie wielkie obszary zostają ogarnięte, bo koń tatarski może uganiać dzień cały bez pożywienia. Dopadłszy do upatrzonej miejscowości, otaczają ją wielkiem kołem i wszystko, co się wewnątrz tego koła znajduje, zagarniają, jak w sieci. Ludzie, schwyceni w ten sposób, próbują oczywiście ucieczki i w panice nie mają nieraz czasu pomyśleć o dzieciach. Takie opuszczone dziecko może się łatwo stać zdobyczą niedźwiedzi, których tu bardzo wiele się znajduje i może być przez nie uprowadzone. Żałuję bardzo, że sprawozdanie moje nie jest bardziej wyczerpujące, mam jednak nadzieję, że będzie przyjęte jako dowód dobrej woli dostarczenia świadectwa na żądanie."

Następują wyrazy uszanowania i podpis J. P. van den Brande de Cleverskerk, z datą: 1 stycznia 1698.

Nie koniec na tem. Connor przytacza następnie świadectwo wiarygodnego, jak mówi, autora, Krzysztofa Hartknocha von Passenheim, który w dziele swem o Polsce[85]) opowiada również o wypadku uprowadzenia dzieci przez niedźwiedzie. Za panowania mianowicie Jana Kazimierza, w roku 1669 — rzecz szczególna, że powtarza się rok 1669, co zdaje się wskazywać na wspólne źródło wersji, nieco odmiennej, — kompanja żołnierzy znalazła dwoje dzieci wśród niedźwiedzi, w lesie niedaleko Grodna. Jedno z nich, widząc, że zaatakowano niedźwiedzie, uciekło w pobliskie bagno. Drugie chciało uczynić to samo, schwytane jednak, zostało przywiezione do Warszawy, gdzie je ochrzczono imieniem Józef, był to bowiem chłopiec. Mógł on mieć wtedy lat 12 do 13. Zachowanie się jego było zupełnie zwierzęce. Nietylko, że jadł on surowe mięso, miód, dzikie owoce i inne pożywienie, jak niedźwiedź, ale przytem chodził na czworakach. Z trudem nauczono go wreszcie chodzić prosto, na nogach. Żeby jednak mógł nauczyć się polskiej mowy, wydało się niemożliwością. Gdy bowiem czegoś pragnął, wyrażał to okropnym głosem, zbliżonym do niedźwiedziego. W jakiś czas potem król Jan Kazimierz podarował go panu podkanclerzemu, Piotrowi Adamowi Opalińskiemu[86]), który użył go w kuchni, do noszenia drzewa, wody i t. p. Dzikość swą zachował on aż do śmierci. Często wymykał się do lasu i przebywał w towarzystwie niedźwiedzi, bez obawy, by mu co złego uczyniły, jako swemu wychowankowi."

„Mógłbym, — pisze Connor, — przytoczyć więcej takich opisów, w Polsce zasłyszanych. Podobno i Mr. Gibson, członek parlamentu angielskiego, widział podobne przykłady w czasie pobytu swego w tym kraju. Ale z tego już, co przytoczyłem, wynika, że podanie

[83]) Wyd. ang. t. I, str. 342. W tem wydaniu znajduje się rycina, którą tu reprodukuję. W wydaniu niemieckiem brak jej, opis na str. 389.

[84]) Pałac Jana Kazimierza, zwany Kazimierzowskim, stał na Krakowskiem Przedmieściu, w tem miejscu, gdzie dziś zabudowania uniwersyteckie.

[85]) Hartknoch Christoph Joannes (1644—1687), autor wielu pism. Tu mowa o dziele: Respublica polonica duobus libris illustrata, Francoforti et Lipsiae 1678 (dwa inne wydania: 1687 i 1698). Estreicher, XVIII, str. 47.

[86]) Connor myli się co do godności Opalińskiego. Był on wojewodą łęczyckim, generałem wielkopolskim, marszałkiem trybunału koronnego. Zob. Niesiecki, VII, str. 114.

o Romulusie i Remusie bynajmniej nie jest taką bajką, za jaką się je uważa i za jaką ja sam je uważałem, dopóki nie znalazłem się w Polsce. Jeżeli bowiem nierozumne zwierzęta, którym filozofowie i teologowie odmawiają duszy, z czysto przyrodzonego popędu dzieci swe pielęgnują i ich strzegą, to nie wydaje mi się rzeczą niewiarygodną, że mogłyby także udzielić opieki młodym innego gatunku, albo dzieciom ludzkim. Ale to są już może dociekania filozoficzne, nad któremi tu nie chcę się rozwodzić"[87]).

Opisując zwyczaje polskie, zatrzymuje się Connor przy napojach i potrawach. Mówiąc zaś o tem, wtrąca też uwagi o zwierzynie. Przytoczę odnośny ustęp w całości:[88])

„Zwyczajnie jedzą Polacy wołowinę i cielęcinę. Mięsa ze skopów nie cenią i dają je służbie. W kraju tym jest wiele kuropatw, ale szarych. Czerwonych niema wcale. Jest też wielka mnogość zajęcy. Natomiast nie hoduje się królików. Polak raczej zjadłby kota domowego, niż królika. Po gospodarstwach widuje się wprawdzie białe króliki, ale te trzymane są dla skórek, z których wyrabiają futrzane podszewki. Sarny znajdują się w Polsce w wielkim nadmiarze. Za to nieliczne tylko jelenie. Jest dalej dużo niedźwiedzi, dzików i mnóstwo zwierzyny skrzydlatej, jak dzikich gołębi i t. p. Co do ptactwa jednak, to jest ono tylko w lecie, nie tak jak w innych krajach, gdzie właśnie zima w nie obfituje. Mają też Polacy świetny stan dzikich wołów[89]), z których mięso, po ostrożnem posoleniu, odznacza się prawdziwą delikatnością."

Tu następuje bardzo interesujący opis polowania na te „dzikie woły"[90]):

„Najpierw wielka ilość konnych otacza zewsząd dziką bestję. Następnie jeden z jeźdźców wysuwa się naprzód i strzela z łuku. Zwierz, ugodzony strzałą, rzuca się z wściekłością na przeciwnika. Równocześnie jednak inny jeździec atakuje z tyłu, tak, by zwierza zwrócić ku sobie. Ten manewr powtarza się dalej tak długo, aż wreszcie biedny zwierz, pokłóty strzałami, traci siły i daje się albo chwycić bez oporu, albo dobić strzałą. Istnieje jeszcze inny rodzaj łowów. Oto chłopi otaczają pewną ich ilość olbrzymiemi zasiekami z powalonych pni drzewnych, ustawiając nadto specjalne rusztowanie dla widzów. Po ukończonych przygotowaniach, łowcy rozsypują się na szereg stanowisk po za ogrodzeniem i przy pomocy psów, jakoteż okrzyków, spędzają zwierzęta w sam środek ogrodzonej przestrzeni. Wtedy, z łuków, zaczynają się sypać strzały. Gdy zaś zwierz raniony rzuca się do ataku, napotyka zasieki i stara się je przezwyciężyć. Ale wtedy myśliwy ma dość czasu, by mu zadać cios śmiertelny. Zdarza się przecież, że byk się przebije. O ile najbliższy myśliwy nie ma pewności skutecznego strzału, wysuwa jedynie przeciw bykowi kawał czerwonego sukna. Inni go zaraz naśladują. Zwierz, ulegając antypatji do tej barwy, rzuca się w lewo i w prawo, póki nie znajdzie się w tej pozycji, że któryś z łowców pośle mu pocisk zabójczy. Manewr z czerwoną barwą nigdy nie zawodzi. Zwierzę to, nota bene, ma tak mocny ozór, że może z jego pomocą człowieka ku sobie przyciągnąć, gdy tylko uda mu się tym językiem zachwycić bodaj kawałek sukni, lub innego przedmiotu".

Opisuje Connor dalej kozice.

„W górach węgierskich żyją dzikie kozy, o mięsie, uważanem za największy specjał. Także ogon z bobra jadany jest z największym apetytem, ale tylko ogon, bo resztę się wyrzuca. Polacy umieją też przyrządzać łapy niedźwiedzie, przy pomocy soli i octu i utrzymują, że jest to świetna potrawa. Ubitego łosia trzyma się w Polsce czternaście dni, w zimie nawet miesiąc, przed oddaniem mięsa do kuchni. Znakomici panowie, ściągając na sejm, wiozą z sobą całe łosie w skórze i niewytrzebione, po pięć i sześć sztuk, wywieszają je w oknach na tak długo, dopóki nie zaczną cuchnąć. Wtedy dopiero je konsumują, jużto jako pieczeń, jużto jako boeuf à la mode. To ostatnie ma być przysmakiem nieporównanym, trafia się zaś tylko na stole wielkich panów."

„Niedźwiedzie — pisze Connor[91]), — choćby największego gatunku, chwytają Polacy w sieci. Gdy już niedźwiedź jest w ten sposób schwytany, przybywają ludzie konno, przy pomocy wielkich drągów przytrzymują łeb i łapy, związują go silnemi, konopnemi powrozami, tak, że prawie poruszyć się nie może, poczem wsuwają go do wielkiej drewnianej skrzyni. Węzły zaś są na zwierzu tak sztucznie założone, że mogą być każdej chwili bez wielkiego trudu zdjęte. Tak trzyma się niedźwiedzia w zamknięciu, aż do chwili, kiedy właścicielowi przyjdzie ochota zabawić się w łowy. Wtedy otwierają się drzwi potrzasku i zwierza się wypuszcza."

„Istnieją w Polsce, pisze autor dalej, dzikie kuraki, kilkakroć większe od kapłona. Na Litwie jest wiele bażantów. W Prusiech zaś wielka ilość dropi. W okolicach Łowicza pojawia się pewien rodzaj małych ptaszków, o wyglądzie jakby wielkich wróbli. A że przybywają one ze śniegiem i ze śniegiem znów odchodzą, nazywane są od śniegu[92]). Przyrządzone mają smak bardzo miły. Co do drobiu domowego, trzymają się Polacy tej zasady, że

---

[87]) Reasumując wszystkie powyższe wersje, którym nawet lekarz daje wiarę, uciekając się co prawda, do pomocy filozofji, można powiedzieć, że mają one zapewne jedno wspólne źródło. Źródłem tem był fakt, zupełnie możliwy, znalezienia w puszczy zabłąkanego, czy może nawet porzuconego dziecka o patologicznym rozwoju, niemowę, z upośledzoną inteligencją. Taki kretyn, matołek, mógł być nawet nieprawidłowo obrośnięty. Znaleziony przez służbę królewską i umieszczony potem pod opieką Sióstr Miłosierdzia w Warszawie, stał się odrazu głośnem curiosum, około którego fantazja pospólstwa dorobiła resztę. Niema w tem zresztą nic dziwnego, że zachowywał się w sposób prymitywny, albo że lubiał miód i że w sposób sobie właściwy objawiał zadowolenie z jadła. Niema i w tem nic dziwnego, że zbliżał się do niedźwiedzi bez obawy, bo uczucia tego nie znał, a zwierzęta te wzbudzały w nim pewną ciekawość. Wersje odnośne przytoczyłem w całości, aby dać pojęcie, jak dalece były one zakorzenione, skoro ofiarą ich padali nawet ludzie wykształceni. Dowodzi tego najlepiej rycina, opublikowana przez Connora.

[88]) Wyd. ang. t. II, str. 208, niem. str. 651.

[89]) Mowa oczywiście o żubrach.

[90]) Wyd. ang. t. II, str. 209, niem. str. 652. — „Łowiec Wielkopolski" ze stycznia 1912, Nr. 19, w artykule pod tytułem: „Łowiectwo w dawnej Polsce", powołując się na ten ustęp z Connora, interpretuje go dowolnie i błędnie, jakoby był to opis polowania na tury.

[91]) Wyd. ang. II, str. 211, niem. str. 654.

[92]) Jest to Śnieguła, Plectrophenax nivalis L., zob. Taczanowski, Ptaki krajowe, tom I, str. 408.

to, co ma być zjedzone w południnie, rano powinno jeszcze biegać".

Kiedy już przytoczyliśmy uwagi Connora o polskiej zwierzynie i polskich potrawach, może nie od rzeczy będzie posłuchać opisu ucztowania. Rzuci to również pewne światło na epokę, o której mowa, to jest na czasy Sobieskiego[93]).

Pisze więc nasz autor:

„Gdy w Polsce urządza się przyjęcie dla gości, nie kładzie się łyżek, noży, ani widelców na stole. Goście obowiązani są wszystko to z sobą poprzynosić. Zamiast serwet używa się szerokiego pasa płóciennego, który w koło stołu przyszyty jest do obrusa. Gdy wszyscy biesiadnicy zasiądą, drzwi wchodowe dobrze się zamyka i nie prędzej je otwiera, aż kiedy po powstaniu gości od stołu przeliczy się naczynia i stolki. Jeśliby się bowiem tych ostrożności nie zachowało, wówczas lokaje, umiejący znakomicie używać swych palców, niejedną rzecz by sprzątnęli. To jest właśnie powodem, dlaczego nie kładzie się na stole łyżek, noży i widelców, a płótno do ocierania przyszywa. Przykrycia stołowego nie zmienia się tak długo, póki nie poczernieje od brudu. U osób zamożniejszych istnieją specjalne sale jadalne. Pewna część takiej sali odgrodzona jest kratą, za którą przechowuje się srebrne naczynie. W sali jadalnej znajduje się galerja dla muzykantów, przygrywających na skrzypcach, lub na pozytywce. Zaproszeni goście przyprowadzają z sobą własną służbę. Każdy z gości kraje sobie połowę chleba, a także z każdej podanej potrawy nabiera połowę, oddając resztę przez ramię swemu służącemu. Ten stoi za swym panem i spożywa to, co dostał od niego. Gdy pan zażąda wina, wtedy pierwszą szklankę wypija służący, poczem, bez płukania, świeżo napełnioną, podaje swemu panu. Jakkolwiek potraw jest bardzo wiele, rzadko wraca coś niespożytego do kuchni. Służba stara się bowiem o to, żeby nic nie zostało, a resztę niezjedzoną pakuje do chustek i wynosi do domu, dla swych rodzin. Po skończonej wieczerzy siedzą Polacy jeszcze jakiś czas przy stole i piją. Jedząc, nie dotykają potraw palcami (przynajmniej ci, którzy chcą uchodzić za dystyngowanych). Umieją oni np. kuropatwę w oka mgnieniu rozczłonkować widelcem na sześć części. W czasie jedzenia nie myślą o niczem innem. O ileby ktoś żądał rozmowy z osobą, zajętą jedzeniem, to nie prędzej ona wstanie od stołu, aż się dobrze nasyci. Gdy już się najedzą i napiją, wtedy palą fajkę. Czynią to zaś w sposób, nie przynoszący szkody ani głowie, ani żołądkowi. Do fajki wkładają bowiem najpierw gąbeczkę, napojoną octem, na której szkodliwe składniki tytoniu się zatrzymują. Fajka taka orzeźwia i jest bardzo smaczna. Dodaje się jeszcze czasem jakiegoś środka wonnego".

„Przyjęcia proszone odbywają się u sąsiadów i krewnych na zmianę. Biorą w nich udział zarówno mężczyźni, jak kobiety. W Polsce bowiem nawet młode dziewczęta dopuszczone są do męskiego towarzystwa, o ile rodzice, lub krewni są obecni. Jest to zwyczaj bardzo praktyczny, bo daje okazję zapoznania się i powoduje niejedno małżeństwo. Inna rzecz, że ci bezpieczni i niewinni mężczyźni, gdy sobie podpiją, biją się nieraz do krwi. Obowiązkiem grzecznego gospodarza jest bynajmniej w tem im nie przeszkadzać.

„Pić na zdrowie i toastować, zwyczaj to niezmiernie rozpowszechniony. Kto tego nie umie, musi się wstrzymać od towarzystwa. Jedni drugich starają się w tym względzie prześcignąć, żadnej okazji nie zaniedbując. Na to patrzy się przez palce, bo państwo ciągnie wielkie korzyści z opłaty od spirytusu". (C. d. n.).

[93]) Wyd. ang. t. II, str. 216, niem. str. 660.

JÓZEF WŁADYSŁAW KOBYLAŃSKI

Łowy Orła Radziwiłłowskiego

(Nieznany panegiryk myśliwski).

233 lata temu, szły przez całą Litwę, jak była długa i szeroka, nieustające rozgoworу o wielkiej książęcej uroczystości rodzinnej.

Serca niezliczonej braci szlacheckiej kładły się u stóp radziwiłłowskich z wielką pokorą i wierno-poddańczemi życzeniami. Przyłączały się do tych życzeń wielkie rody polskie z należnem uszanowaniem. Z różnych krajów Europy, od różnych panujących i magnatów cudzoziemskich szły do Białej Podlaskiej ordynanse z wiwatami i gratulacjami „ad multos annos".

Trzęsły się niezbadane i prastare puszcze radziwiłłowskie od sygnałów trąb i rogów myśliwskich, od ujadania niezliczonych sfor psów. Napełniły się ciemne jak noc i zaszyte bory litewskie harmiderem ludzkim, szczękiem oszczepów i dzid, palbą broni myśliwskiej, jakbyś powołał całe pospolite ruszenie i rozpoczął batalję... Porwała się ze swych legowisk wystraszona, mnoga i różnorodna zwierzyna łowna. Od żubra począwszy, a skończywszy na jarząbkach, wszelka zwierzyna ssąca, nadająca się do spożycia, jak i każdy ptak łowny, składały ofiary na stół z okazji wielkiego święta, nietylko w Przemyślu i Białej, ale we wszystkich folwarkach i zaściankach, rozsypanych na olbrzymich przestrzeniach, będących własnością tego bezkonkurencyjnie bogatego rodu radziwiłłowskiego.

W Przemyślu obchodzono wielką uroczystość z niebywałym przepychem i splendorem. W Białej Radziwiłłowskiej grzmiały radosne wiwaty armatnie. Święto Radziwiłła, było świętem całej Litwy. Książę Michał V. Kazimierz Radziwiłł „Rybeńko", urodzony w 1702 r., obchodził jako 18-letni młodzieniec zaręczyny swoje z kasztelanką krakowską — Sieniawską.

Od roku 1718 trwała znajomość księcia Michała z Sieniawską. Starał się o jej rękę nie z popędu serca, ale jedynie nie chcąc sprzeciwić się woli swej matki, dla której miał jak najczulsze serce synowskie, gotowe zawsze nawet do ofiar i poświęceń. Jakkolwiek panna była starsza i ojciec księcia Michała: książę Karol Stanisław nie rad był temu związkowi, to jednak i on jako człowiek łagodnego charakteru, uległ swej żonie, która koniecznie chciała widzieć swego syna związanego węzłami krwi ze sławnym na owe czasy rodem Sieniawskich. Położenie młodego księcia było o tyle trudniejsze, że rozkochał się był szalenie w Karolinie, córce swego krewnego: królewicza Jakóba.

Dnia 3 marca 1720 r. otrzymał książę Michał na radzie Senatu w Warszawie, przywilej od króla na Starostwo Przemyskie, na które — jak czytamy w jego własnym djarjuszu — uczynił dnia 13 maja tego roku solenny wjazd w licznej asystencji najpierwszych dygnitarzy, w gronie których był też Sieniawski, kasztelan krakowski i hetman wielki koronny.

Następnego dnia, odbyły się w Przemyślu formalne zaręczyny z kasztelanką krakowską, z czego książę Michał nie był wcale uradowany, gdyż uczucia swe zwracał nadal ku księżniczce Karolinie, o której marzył, lecz... wyżej postawił uczucie miłości względem matki i nie poszedł wbrew jej woli.

Zabawy pełne przepychu i wystawy, odbyły się w rezydencji Radziwiłła, na zamku Przemyskim oraz w Sieniawie.

Z okazji tych zaręczyn, niejaki Piotr Terlecki Prokopowicz, kresowiec, co poznać z licznych naleciałości wschodnich w papierach po nim pozostałych, napisał w 1720 r. na cześć „Ich Mościów Oblubieńców", kilkanaście wierszowanych, dłuższych panegiryków (każdy ilustrowany) zawartych w niedrukowanym dotąd rękopisie, zatytułowanym: „Głos Herbownych Trąb Iasnie Oswieconego Xiążecia Iego Ms. Michała Radziwiłła Starosty Przemyskiego" etc.[1]).

Wśród tych bałwochwalczych utworów, znalazłem jeden, który uważam że wszech miar za stosowne zamieścić w „Łowcu", z dwóch względów: a) wiersz ten posiada wielkie znaczenie dla literatury łowieckiej jako pierwszy a dotąd nieznany nam panegiryk wybitnie myśliwski, w którym autor biorąc asumpt do herbu radziwiłłowskiego, opiewa jego dostojeństwo królewskie na kanwie całkowicie myśliwskiej, ilustrując panegiryk oryginalnym, własnoręcznym rysunkiem z napisem „ut adiuvet ac ornet nuptias"[2]). Rysunek ten wyobraża orła radziwiłłowskiego z koroną na głowie, pędzącego przed sobą ptactwo i zwierzęta czworonożne, aby niczego nie zabrakło na stołach książęcych. b) Z uwagi na olbrzymie zamiłowanie Radziwiłłów do myślistwa, będącego treścią większości ich życia, a które urządzali z niebywałym przepychem i pompą, której żaden ze współczesnych monarchów Europy dorównać nie mógł.

Kim był ów Piotr Terlecki Prokopowicz, nie zdołałem stwierdzić dokładnie. W archiwum Nieświeskiem są jego listy pisane przeważnie z „Bakuńczyc", które są dziś przedmieściem Przemyśla, a w owych czasach były siedzibą zamożnego obywatela ziemskiego. Sądzę, że Terlecki zażywający wielkich łask u Radziwiłłów, miał pieczę nad ziemiami przemyskiemi, był niejako dyspozytorem, plenipotentem majątku radziwiłłowskiego w Starostwie Przemyskiem. W liście Terleckiego pisanym w Bakuńczycach 17. XII. 1719 r. czytamy: „...jednak jako sąsiad bliski Starostwa a wierny sługa i oficer znaku oświeconego Xiążecia Imć Pana i Dobrodzieja mego..." itd.

Autor panegiryków nie był zgoła mistrzem wiązanej mowy. Rozumiał to sam dokładnie i niejednokrotnie usprawiedliwia się mówiąc: „Temim opisał słowami, na które mnie stało"; prosi czytelnika o pobłażliwość:

„Cny Cenzuracie; śli niepodobały
Moieć Się Rymy; śli niewsmaku stały:
Proszę wybaczyć; gdyż bez ułomności,
Niemasz nikogo na swiatowey włosci".

[1]) Rękopis znajduje się w archiwum Nieświeskiem.

[2]) Po polsku: „Ażeby pomagał i ozdabiał uroczystości weselne".

W. G. S.

Nasz sekret

Siedziałem przy biurku i przeglądałem zalegające rachunki, nakazy płatnicze, pozwy — ot takie zwykłe obszarnicze zajęcie.

Nagle spada mi na ramiona jakiś ciężar, drobne rączyny oplatają mi szyję, różowa buzia tuli się do mojej twarzy, czarne jak węgle oczęta — ogromne, patrzą błagalnie, a słodka buzia jak serduszko, szczebiocze: „Wujciu, Wujciu. Wujtasik tak cudnie pisze, (a no co? nie mówiłem?) — że można się śmiać i płakać — (dobra autoreklama). — Wujcio musi dla mnie napisać bajeczkę, ale taką, tylko dla mnie, dla nikogo innego. — Zwarjowałaś? Taki stary babsztyl, a bajeczki jej w głowie, widzisz, że mam robotę. — Moja mała przy tem, połowę moich zobowiązań ministerjalnym ruchem zgarnęła do kosza. Takie załatwienie sprawy niezmiernie przypadło mi do smaku i ułatwiło zrównoważenie pozostałej reszty.

Mój pieszczoch szczebiotał dalej: — Wujtasiku, coś o ptaszkach i gniazdku — Wujcio taki najdroższy, słodki. — Taki śliczny — coś o ptaszkach.

Takie poczucie piękna u 9-letniej dziewczynki zastanowiło mnię i skłoniło do ugodowego załatwienia sprawy.

— Ty brzdącu śliczny — widzisz przecie, że mam robotę, tobie się ptaszków zachciewa, a ja mam rachunki; tak ci zaraz wygarbuję różowiutką skórkę, że cię wszystkie ptaszki odlecą, a przez tydzień nie będziesz mogła siąść na swojem własnem gniazdku. — Kaskada śmiechu, reszta papierów znikła z biurka, gorący uścisk — i — O już niema roboty, a Wujcio już obiecał.

Trzy uderzenia złamaną podkową w stary lemiesz powieszony na drutach, oznajmiły nam donośnie radosną wieść, że dziś jeszcze będzie obiad.

A miał być bal. — Zupa nieokreślonego smaku „tak zwana" — na starej wygotowanej ścierce i zioberka z kartoflami. Kochany brzdąc miał jeszcze oprócz tego jarzyny i kompot — a mademoiselle wcale nic.

Ach ta mademoiselle! — Otóż lat temu kilkanaście, miała bliźniaki — ale te nie potrzebowały dożywiania, bo już były na własnym chlebie, w jakimś kabarecie na Mont-Martre w Paryżu — a mamy nie trzeba było dożywiać, gdyż wybujała okrągłość form przestrzegała przed dalszem żywieniem, jako wprost szkodliwem dla organizmu i celowo co najmniej zupełnie zbędnem. — Obiad „tak zwany" przerwał dyskusję z moją natrętną przyjaciółką, która n. b. przed obiadem popierała swą prośbę zupełnie wymownem tratowaniem mnie po brzuchu, zdaje się dla dodania apetytu. — Pasjami lubię ścierkową zupę — no i cudze dzieciaki.

Przytaczając poniżej ten oryginalny panegiryk myśliwski, zachowuję pisownię autora z przed 213 lat, dodaję tylko znaki pisarskie, których autor niemal wcale nie uwzględnia, a które są konieczne dla łatwiejszego zrozumienia zawiłej niejednokrotnie myśli. W tym też celu daję w odnośnikach objaśnienia, sądząc, że przyczynią się one do uzyskania tem większej wyrazistości obrazu.

Potrzeba dobrze w swiecie głową robić,
Kto chce ptaszęty[3]) bankiety ozdobić:
Nie zaraz włowi ie, bo skrzydła maią,
Prętko lataią.

Zazywać całe rozney Sztuki muśi,
Ktory Się o nie[4]) Stara y też kuśi,
Pomyślić dobrze w tym — przyznawam — trzeba:
Lecą pod nieba.

Potrzeba onym rozne dawać waby,
Nie przynęco ie Swemi bayki baby,
Choćby niewiedzieć iak długo szeptały,
Nieprzestawały.

Kto umie Sieći pleść, trzeba pracować,
Niesłowem to te, niesłowem zgotować:
Chyba u Boga to taka iest Siła:
Co swiat stworzyła[5]).

Iesli nieumie zas kto robić One[6]);
To trzeba brząknąć[7]) y puśc też na strone[8]),
Muśi po wioskach, po miastach poszukać,
Wedrzwi postukać.

[3]) Ptaszętami.
[4]) O ptaki.
[5]) Słowem sieci na ptaki nie stworzy się, Bóg tylko jeden potrafił słowem świat stworzyć.
[6]) Mowa o sieciach.
[7]) Brzęknąć monetą, t. j. kupić.

A choć byś y miał też gotowe sieći,
Samo do onych ptasze nieuleci,
Muśi ie w pole wynosić, zastawić,
Tam Się pobawić.

Trudno ie[9]) nagnać w one[10], ulataią
Dzikie, uglaskać nigdy się niedaią.
Gdy na nie patrzym, aże tęskno duszy,
Człowiek się suszy.

Sidełka to sam, to tam kładniesz, stawisz,
Nie małe czasy koło nych zbławisz,
A ieszcze niewiesz, czy co w nie upadnie
Nikt to niezgadnie.

Waby[11]) im daiesz, aby przylatały,
Lepy[12]) kupuiesz, aby uwiązały,
Często to[13] oschnie, ninac się niezgodzi,
Darmo się chodzi.

Cięszko ie zwabić, w pole idą, w lasy,
Chyba niektóre obioro się czasy
Na ich łowitwe[14]) Ale tak ich rzadko,
Niewtył nikt klatką[15]).

[8]) Po okolicy.
[9]) Ptaki.
[10]) W sieci.
[11]) Przynętę.
[12]) Masa kleista, którą oblepiano gałęzie drzew. Gdy ptak usiadł na taką gałąź, wówczas przylepiał się do niej nogami i pierzem i wtedy chwytano go. Rzecz oczywista, że gdy lep wysechł, tracił on wszelką moc łapania.
[13]) Lep.
[14]) Połów (Jan Karłowicz: Słownik gwar polskich).
[15]) Ptaki w klatki chwytają się trudno, nigdy masowo, więc nikt jeszcze nie utył, nikt nie najadł się ptakami schwytanemi w klatki.

Po obiedzie wszechwładna bosa dziewoja przyniosła czarną kawę ze soi — wyrób krajowy — usłyszałem uroczce „merci" od madmoizeli, która oddawała się popołudniowej drzemce dla odtłuszczenia — dałem czarnuszce, pieszczotce, kanarka, powiedziałem: niech idzie bąki zbijać, pozbierałem porozrzucane rachunki, a stwierdziwszy, że w międzyczasie żaden nie został załatwiony — odłożyłem je na bok.

Wraz z dymem papierosa snułem myśli, jak bez długów, bez dochodów i pieniędzy, wybrnąć z sytuacji.

Uznaję jedynie wszelkie podatki za słuszne, — gdyż trzeba przecież budynki rządowe postawić na światowym piedestale, przygotować się na wszechświatową wystawę za lat dziesięć. — No a Gdynia, a drogie koleje, które wiecznie trwać nie mogą bez wkładów. — A cóż dopiero święty obowiązek utrzymania starych zabytków naszej tylowiekowej kultury — przedmurza zachodu. — Nie mówię już o Wawelu i Sukiennicach, nie mówię o Zamku i Łazienkach — ale te prastare nasze świątynie — a Wilanów, Podhorce, Olesko, Zbaraż. — Trzeba przecież rynek krakowski zeuropeizować kilkoma nowoczesnemi kamienicami, bo zagranica pomyśli, że u nas panuje król Ćwioczek.

Na to muszą być pieniądze, na to muszą być podatki, zajęcie dla bezrobotnych, a ostatecznie jakoś to będzie.

Snując tak różne twórcze myśli, polazłem w pole.

Czasem przecież trzeba zaglądnąć, czy ugory dadzą dość znaczną ilość zielonego nawozu, czy kmiotkowie umiejętnie podpasają dworską łąkę, czy też wybierają co najlepszą trawę, ile niewinnych drzewek przydrożnych zostało zniszczonych, gdzie wykoszono oziminę, gdzie rozebrano płoty — lub ubito młodego zajączka, albo zniszczono gniazda.

Roboty huk — tylko poszukać.

Załatwiwszy się z codzienną gospodarską kontrolą fizyczną, zabrałem się przed wieczorem do pracy umysłowej, przygotowania zamknięcia rachunków za ubiegły rok gospodarczy. — Ze stronami „ma" (lub nie ma) szybko się załatwiłem i już stawały mi włosy na głowie, gdy zabierałem się do stronic „winien", gdy jak bomba wpadła moja milusińska, wołając: — Wujciu ratuj — ptasiątko wypadło z gniazda w szpalerze! — Pod drobną rączką znikła cała stronica „winien" — ułatwiło mi to ogromnie związanie końców papierzanego „ma" z efektywnem „winien" — i, ciągnięty za rękę, podążyłem za małą opiekunką ptaszyny w szpaler grabowy. Na ziemi popiskiwało biedne pisklę, a para paszkotów, rozpaczliwie wzywała ratunku. — Przyniesiony stołek pozwolił nam stwierdzić w gnieździe, na wysokości powyżej człowieka, trzy jeszcze paszkociątka i jakiegoś potworka — naturalnie kukułkę.

Wyjęte stare wyszarzałe gniazdko z klatki po szczy-

Potrzeba ptaka poiachać upole[16]),
Niem ieszcze znaydziesz, nie małą niewolę
Masz, à choć znaydziesz uciekaią więce,
Piszczy ptak[17]) w ręce.

Niezwyczaynego pusciwszy na one,
Leci niewiedzieć kturędy nastrone,
Padasz sam, to tam, dzwonkow[18]) posłuchuiesz,
Głowę turbuiesz.

Nie ieden często nadrze się polesie,
A do Domu nic raz z onych nieniesie:
Chodzi po pod nie, à oni[19]) lataią,
Nic nan niedbaią.

[16]) Potrzeba z ptakiem ułożonym pojechać w pole, ale i wtedy sprawa wymaga wiele jeszcze trudu, by znaleźć ptaka na stół. W tej zwrotce i w trzech następnych mówi autor o nikłych wynikach polowania z ułożonym myśliwskim ptakiem drapieżnym. Autor tutaj widocznie tendencyjnie wypuszcza w powietrze na łowy nie ćwika, ale sokoła niezdarę, aby tem silniej podkreślić przymioty orła książęcego, zwalczającego takie nawet ptaki, które nie miały respektu wobec ułożonego sokoła czy jastrzębia. Dobrze bowiem ułożony ptak drapieżnik był zawsze panem przestworza i dzielnie atakował ptaki, które pełne trwogi zawsze broniły się rozpaczliwie pazurami, dziobem, czy też ucieczką, a nigdy nie zachowywały się tak, jak je przedstawia autor pisząc: „Nic nan niedbają", albo „mile śpiewają" wtedy, gdy im śmierć od rozszarpania grozi w każdej chwili. Wiadomo bowiem, że ptaki w momencie atakowania ich, tracą niejednokrotnie wszelką orjentację, przytomność, głupieją całkowicie. Przestrach niejedne do ziemi przykuwa tak dalece, że je czapką nakryć można.

[17]) Ptak drapieżny ułożony do polowania.

[18]) Ptakom drapieżnym, używanym do sokolnictwa, przywiązywano do nóg drobne dzwonki, aby myśliwy mógł się orjentować, gdzie ptak w czasie polowania znajduje się.

[19]) Ptaki atakowane przez sokoła.

Mile spiewaią; słucha[20]), nań pogląda,
Wielce pragnie ie nośic, y też żąda.
Cóż, trudno dostać, lataią wysoko,
Co doyzrzy oko.

Często, iak znamy, nosi na nie klatki.
Przydzie do Domu, musi yśc na iatki[21]):
Co gotowaego dlasiebie kupować,
Banket sprawować.

Tyś w tym Szczęsliwy dzisia Kawaleru[22])
Weselatwego wesoły ryceru,
Po one ci Się turbować nietrzeba,
Służąć w tym nieba.

Darmo wysyłać masz po nie na pole,
Oto y w Domumu Bog ci daie Dole:
Czego potrzeba z ptakow na wesele,
Iest wszego wiele.

Są koropatwy, przepiurki, Iarząbki,
Dzikie grywcze[23]), Są siwe gołombki,
Są tłuste Drochwy[24]), są także Cietrzewie[25]),
Wszego iest, wierze.

Nietrzeba robić tu na ptaki sidła,
Lep kupować, by ulepiły skrzydła,
Nietrzeba namiey ptastwem się turbować,
Sieci sprawować.

[20]) Mowa o sokole.

[21]) Myśliwy nie ułowiwszy nic zapomocą klatki albo bardzo mało, zmuszony iść do jatki t. j. do rzeźni i tam zaopatrzyć się w mięso.

[22]) Zwrot pochlebny w stronę księcia Michała Radziwiłła, któremu sprzyja niebo.

[23]) Gołąb grzywacz (Columba palumbus).

[24]) Dropie (Aleksander Brückner: Słownik etymologiczny języka polskiego).

[25]) Cietrzew (Karłowicz, Kryński, Niedźwiecki: Słownik języka polskiego).

głach czy kanarkach zostało wyścielone ciemnem pierzem kurzem z poduszki gospodyni — a gniazdko powieszone na druciku, tuż obok paszkotowego. Jednem słowem, nasze sztuczne gniazdo tworzyło dépendance głównego objektu.

Z oddali śledziliśmy, co będzie dalej. Po chwili starzy Paszkotowie, na razie nieufnie, badali sytuację, wreszcie zlecieli na swe gniazdko. — Wiedzieliśmy, że mały ucieknier nie zostanie opuszczony. — Moja czarnuszka zastrzegła sobie, że to gniazdko, to nasz wspólny, niezdradzalny sekret, tylko nasz sekret. — Umowa została zatwierdzona ubiciem dłoni, a Marmuzeli poleciłem, by przy każdej lekcji, dawała memu drobniaczkowi 5 minut pauzy, dla pilnowania ptasząt.

Rozumie się, że przed wieczorem nie było końca pytaniom, jak to z paszkotami, a co kukułka, jak to z tem jajkiem. — Groźba, że mały ornitolog początkujący nie położy się za nic, nim Wujcio nie opowie, skłoniło mnie do gawędy. — Wytłumaczyłem, że Paszkotowie się pobrali, że ona zaczęła znosić jajka, że kukulicha ją podpatrzyła, a znalazłszy u siebie podobne jajko, zniosła je do gniazda paszkotów, gdyż nie lubi karmić sama swoich dzieci i trudu sobie zadawać. — Że paszkot wsiadł na swoją żonę na całego, zrugał za nieporządki w domu, za wpuszczanie intruzów z cudzemi jajkami, że jak jeszcze raz coś takiego będzie, to — Amen, — że biedny poskrobał się łapką za uszkiem, zadumał, zasumował i wyrzekł wreszcie wielkie słowo: „Nie ma bo rady! Tak Bóg chciał, tak być ma, ino sza, ino sza!" — Czasem trzeba dokarmiać cudze dzieci.

Tu wykrzyk z różanych usteczek: — Całkiem tak jak Wujtasikowie!" — A to smyk, — (no trudno, jak mnie nikt nie chwali — to ja sam to potrafię). — Że potem paszkociowa rozczapierza piórka, ile tylko może, że ogrzewa jajka jak pierwsza lepsza kwoka — kura, wystawia jajka na rosę, depcze po nich, obraca, zmienia, aby było równouprawnienie, tak jak u nas ludzi, że nareszcie jajka zaczynają się ruszać, skorupka pęka, wyłażą pisklęta. — Skorupki się wyrzuca za gniazdko, ogrzewa się maleństwa własnem ciałkiem i zaczyna się walka o byt, o karmę, z drożyzną niszczenia owadów, zanikiem kultury — no niby tak jak u nas.

Że kukułka pilnuje gniazd gdzie zniosła jajka i gdy zajdzie potrzeba, robi miejsce dla swego niemowlęcia, pozostawiając wyżywienie opiekunom. — Sen morzył moją małą słuchaczkę (nic się nie dziwię i mnie senność zbierała, gdym pisał, a cóż dopiero takiego, któryby czytał te słowa). Zakończyłem więc, że na końcu ptaszek wylatuje z gniazda, a moja paskuda natychmiast wleci do łóżka. — Słowo stało się ciałem odrazu śpiącem, z zamkniętą piąstką, by aby ptaszek jej nie uleciał. C. d. n.

Naco się zbierać, po one turbować,
Darmo się nanie przybirać, gotować,
Co insze sprawiać trzeba; lub spoczywać,
Zdrowia niezbywać.

Oto herbowny Orzeł twoy: Król ptaków,
Co trzeba żęnie z pola, z lasow, z krzakow,
Pędzi iak prędzey skrzydłami swoiemi,
Upstrą[26]) ktoremi.

Patrz iako przed nim[27]) walą się kupami[28]),
Wszędy ich pełno nad dwory, polami
Szumią własnie, iak by iakowa chmura,
Pod niebem która.

Rożnego rodu specy[29]) ich nielicze,
Zorawlow, gęsy, à drugich nietycze[30],
Aż miło duszy, gdy się poyzry oko
Na nie wysoko.

Są z inszych Kraiów: gdzieś ich podostawał?
Gdzies daleko się po one udawał?
Dla goscy to twych on[31]) tak się postawił,
By cię usławił.

Będziesz miał, będziesz, czem Polską traktować
Na twym weselu, y czym uszanować,
Niezawstydzisz się nikogo z onemi,
Przed stoły twemi.

Wszelakie znaydzie, iakowe podoba
Kto sobie: choć by krolewska osoba
Ukątętuie Się zwszey miary:
Piękne są pary.

Cóż rzeczem, gdy się zywe wynaiduią[32]),
A Komuż one wżdy niezasmakuią?
Nie Każdemu — się przyznam — trafią takie,
Nieladaiakie.

Podczas iesieni dobrze się zażyły[33]),
Same niebiosa toć wtym posłuzyły,
Ato wsze ciągnie na wielkie Ozdoby,
Twoiey Osoby.

— ooo —

Tuż y zwierząt pędzi wiele
Onze orzeł na wesele,
Patrz! iak tusię rospędziły,
Kogoż by nieucieszyły.
Są Łosie, Sarny, Zaiące,
Dziki włosą buiaiące,
Są rozne zwierze, Ielenie,
Któż policzy wszystkich mienie[34]).
Dostatkiem wszego nagania.
Będzie obiad y sniadanie,
Będzie zgębe[35]) tu każdemu,
Kawaleru walecznemu.
Zolnierze bitne Polacy
Będą dosyć mieć popracy.
Wkoło wszystkie stoły Pany
Ukątętuią się; Stany
Wszelkie, niezliczone dwory,
Weselna młodz y też Cory
Będą pelno, będą miały,
Y muzykow traktowały,
Będą goscie, y Do domu
Wezmie — trzeba będzie komu,
Nieubogo postarał się,
Koło siebie opasał się
On Radziwiłowski sławny
Orze, wszemu swiatu iawny.
Niedarmo on potrudził się,
Za zwierzmy w lasach pędził się,
Niedarmo on miał staranie
O twoim Weselu Panie.
Niedarmo skrzydłami robił,
Kiedy oto przysposobił
Onemu[36]) zwierząt y ptakow,
Co to widzim w Zodyakow[37]).
Dzisia tu Sieniawskich Sławnych,
Na cały swiat wszędy iawnych.
Precz że iastrzęby[38]) y Łaie[39]),
Zamilion was ten staie
Orzeł Xiążąt tu walecznych,
W Polskim swiecie wszem statecznych.

Czegoż potrzeba wam oblubiency
Nad tego Orła dzisia tu więcy:
Kiedy wygodził Wam na wesele
Iak widzim — wiele.

[26]) Urozmaicić, upiększyć stół.
[27]) Mowa o orle radziwiłłowskim.
[28]) Wielkie ilości ptaków i zwierząt łownych.
[29]) Species = gatunek.
[30]) Nie wyliczam, nie poruszam.
[31]) Mowa o zasługach i sprawności orła radziwiłłowskiego, który zapełnił stoły wszelaką zwierzyną.
[32]) Nie każdemu przytrafia się złowić żywego ptaka. Ubitego łatwiej kupić.
[33]) Zwierzyna była tłusta, dobrze w jesieni wykarmiona.
[34]) Nazwy, imiona złowionych zwierząt.
[35]) Będzie wiele włożyć w gębę.
[36]) Weselu książęcemu.
[37]) Pas dwunastu gwiazdozbiorów, które przecina ekliptyka. — Gwiazdozbiory te są: BARAN, Byk, Bliźnięta, Rak, Lew, Panna, Waga, Niedźwiadek, Strzelec, Koziorożec, Wodnik i Ryby. Autor pod nazwą „Zodjak“ rozumie „zwierzyniec“, w którym przebywa wszelaki zwierz, a które to zwierzyńce posiadały dobra Sieniawskich.
[38]) Używane w sokolnictwie.
[39]) Łaja, t. j. kilka sfór psów gończych, które goniąc grubego zwierza, łają przy tem zajadle: inaczej złaja, a także zgraja.

II Międzynarodowy Kongres dla ochrony przyrody*)

Wydane zostały świeżo wyniki obrad II Kongresu międzynarodowego dla ochrony przyrody, jaki się odbył w Paryżu w czerwcu i lipcu r. 1931. Członków M. Z. Ł. powinny zainteresować rezolucje tego Kongresu, gdyż mają charakter międzynarodowy i taki wzbudzają interes. Przekonamy się zresztą, iż rezolucje te są w swej większości identyczne z rezolucjami M. Z. Ł., który odbył swe zebranie przed omawianym kongresem dla ochrony przyrody.

Rezolucje dotyczące fauny. Kongres powziął rezolucję, aby w wypadku, gdyby konwencja międzynarodowa z r. 1902 miała być znowelizowaną, nie brano za podstawę podziału ptaków na użyteczne i szkodliwe, lecz by się oparto na zasadach nauki i ochraniano wszelkie ptactwo dzikie, przyczem jednak każde państwo będzie

*) Z sekretarjatu M. Z. Ł. otrzymaliśmy wyciąg rezolucyj powziętych przez ten kongres. Treść ich powinna zainteresować nietylko członków M. Z. Ł., lecz także szerszy ogół myśliwski, przeto podajemy ją tu w tłumaczeniu.

mogło wydawać czasowe postanowienia przeciw ptakom podejrzanym o czynienie szkód w rolnictwie. Prócz tego kongres wyraził życzenie, by Komisję międzynarodową dla ochrony ptactwa, skłonić do przestudjowania kwestji szkodliwości ptactwa dla rolnictwa i by zebrać przez „Urząd dla gromadzenia dokumentów dla ochrony przyrody", mający swą siedzibę w Brukseli, wszelkie postanowienia prawne w tym przedmiocie, w poszczególnych Państwach już ogłoszone (rezolucja przedstawiona przez P. Van Tienhoven).

(Sekretarz Generalny M. Z. Ł. wystosował do P. Van Tienhoven list, w którym zwrócił jego uwagę na istnienie Międzynarodowego Związku Łowieckiego i jego specjalnej komisji stałej, złożonej z powag łowieckich i ornitologicznych, zaznaczając, że te ciała zajmują się już dopieroco wspomnianemi kwestjami. Równocześnie zaprotestował on przeciw tej części rezolucji, w której jest mowa o potrzebie ochrony wszelkiego ptactwa dzikiego, skoro ptactwo łowne powinno należeć wyłącznie do kompetencji M. Z. Ł.).

Kongres wyraził dalej następujące życzenia:

a) aby konwencja międzynarodowa dla ochrony ptaków z 19 marca 1902 r., była stosowaną w całej swej rozciągłości przez strony kontraktujące; aby Państwa, które jeszcze nie przystąpiły do tej konwencji, zechciały ją podpisać w najbliższej przyszłości, tak, aby można osiągnąć jej pełne stosowanie we wszystkich krajach.

b) aby wylewanie ciężkich olei przez okręty, było zakazane i aby rezolucja w tym względzie powzięta, została podana do wiadomości M. Z. Ł. i dołączona do rezolucji powziętych przez ten Związek na jego zebraniu z czerwca 1931 r.;

c) aby racjonalna i skuteczna ochrona ptactwa była nieodłączną od polowania, co jest osiągalne, skoro polowanie jest wykonywane rozumnie i z umiarkowaniem, w konsekwencji czego polowanie i ochrona ptactwa mają we wielu punktach wspólne cele, które powinny je łączyć do wspólnej akcji;

biorąc z drugiej strony na wzgląd, że używanie do polowania broni palnej, skoro jest należycie uregulowane, nie może pociągnąć za sobą istotnego zmniejszenia się liczby ptactwa, podczas gdy wszelkie inne środki zdobywania ptactwa, powinne być potępione jako niegodna nazwy polowania masakra;

biorąc nadto na wzgląd, że od kilku lat ruch organizacji i obrony, zaznacza się między prawdziwymi myśliwymi, zaniepokojonymi słusznie zmniejszaniem się zwierzostanów, a który to ruch objawił się w niedawnych debatach Międzynarodowego Związku Łowieckiego;

Kongres powziął rezolucję:

aby M. Z. Ł. przy udziale wielkich związków myśliwskich różnych państw i przy współpracy Międzynarodowego Komitetu dla ochrony ptactwa:

1. ustalił definicję pojęć „polowania" i „myśliwego", oczywiście przyjmując przytem, że broń palna jest jedynym uznanym i dopuszczalnym środkiem polowania;

2. potępił używanie broni palnej bez ciągów o średnicy 12 mm. lub też niższej i broni palnej w kalibrze większym niż 12-sty, jakoteż używania do polowania łodzi o płaskich dnach t. zw. „punts" i łodzi automobilowych*);

3. wydał kodeks zasadniczych prawideł używania broni palnej, eliminując zeń niedozwolone lub naganne sposoby polowania, jakie jednak czasem towarzyszą jej używaniu;

4. potępił używanie żelaz sprężynowych, t. zw. żelaz na myszy i szczury o djametrze mniejszym jak 15 cm., a także używania żelaz umieszczanych na słupie;

5. ustanowił, po osiągnięciu porozumienia międzynarodowego dla każdego państwa listy ptaków łownych, któreto listy zawierałyby wszystkie ptaki, mogące być przedmiotem polowania, przyczem ptaki przelotne, powinne być traktowane jako ptaki, należące raczej do krajów, w których się gnieżdżą, z wyjątkiem gdyby co do nich osiągnięto specjalne porozumienie; ptaki, listami ptactwa łownego nie objęte, powinne doznawać zupełnej ochrony przez cały rok;

6. zadecydował, by wszelkie polowanie było zakazane w czasie gnieżdżenia się ptactwa i wywodzenia młodych, z zastrzeżeniem wyjątkowych postanowień przeciw ptactwu, figurującemu na liście jako ptactwo t. zw. „szkodliwe", przeciw któremu może być zastrzeżona interwencja strażników łowieckich, straży lasowej i innych osób, ustawowo upoważnionych;

7. wydał dla towarzystw myśliwskich wzory statutu i regulaminu wewnętrznego, któreby się opierały na dopiero co przytoczonych zasadach, a w szczególności zawierałyby listę ptaków łownych, przyczem tylko te ugrupowania mogłyby być uznane za „Towarzystwa myśliwskie", któreby przyjęły taki statut i regulamin wewnętrzny i zobowiązały się do ich przestrzegania; one też tylko mogłyby korzystać z pomocy moralnej i finansowej Związków Stowarzyszeń Łowieckich i Międzynarodowego Związku Łowieckiego, one też wreszcie, byłyby jedynie uprawnione domagać się subwencyj rządowych, przeznaczonych dla Towarzystw myśliwskich. (Rezolucja wniesiona przez P. A. Chappellier). (Dok. nast.)

Tłum. A. Sander.

*) Kongres wyrażając życzenie nieużywania broni śrutowej o bardzo małych kalibrach, chciał prawdopodobnie zabezpieczyć przed strzelaniem ptactwo najdrobniejsze. Zauważyć należy, że chodzi tu o kalibry broni śrutowej w myślistwie nieużywanej, gdyż kal. 32, mierzy jeszcze w średnicy 14,3 mm Z drugiej strony występując przeciw broni o bardzo wielkim kalibrze (oczywiście także śrutowej) chciał kongres zapobiec „zbyt skutecznym" strzałom w stada kaczek lub innych w stada zbijających się ptaków. — Nie mamy w języku polskim synonimu dla oddania słowa „punt". — Z najlepszych słowników obcych należy przyjąć, że tak nazwane są łodzie o płaskiem dnie. Zakaz używania ich do polowania, może być tem uzasadniony, że nimi tylko można podpływać do ławic, na których siadają stada ptactwa morskiego.



Ś. † p.

Stanisław Wodziński

członek i długoletni delegat M. T. Ł. powiatu łańcuckiego, zmarł dnia 15 sierpnia 1933.

Cześć pamięci wiernego Towarzysza i pokój Jego duszy.

Ś. † p.

Jerzy hr. Baworowski

członek M. T. Ł., zmarł 6 września 1933, we Lwowie.

W przedwcześnie Zmarłym tracimy wiernego, wypróbowanego przyjaciela.

Cześć Jego pamięci, pokój Jego zacnej duszy!



Odezwa do myśliwych!

Opracowując niektóre zagadnienia związane z biologją naszych dzikich kuraków, zająłem się wspólnie z Drem Ant. Gawłem, st. asystentem Zakładu Mineralogji U. J., morfologią i znaczeniem kamyków (gastrolitów) u głuszca i cietrzewia. Udostępniony mi uprzejmie jedyny w swoim rodzaju zbiór Ks. Andrzeja Lubomirskiego z Przeworska, pozwolił nam zapoznać się z temi stosunkami u głuszców i cietrzewi.

Brak nam dotychczas dostatecznego materjału dotyczącego innych naszych ptaków, jak gołębia dzikiego, jarząbka, a przedewszystkiem przepiórki i kuropatwy. W tym celu zwracam się z usilną prośbą do P. T. Myśliwych, polujących w nadchodzącym sezonie na wyżej wymienione ptaki, by zechcieli nam przyjść z pomocą przez nadesłanie materjałów pochodzących możliwie z różnych okolic Polski.

W tym celu najlepiej po zabiciu ptaka wyjąć żołądek wraz z wolem, odcinając go od przełyku i jelit, wysuszywszy go cokolwiek w niezbyt gorącem miejscu, przesłać pod adresem podpisanego wraz z karteczką podającą rewir, wieś (gminę) i powiat, oraz nazwisko myśliwego-ofiarodawcy.

Dr. Kazimierz Wodzicki
Docent Uniwersytetu Jagiellońskiego
Kraków, Św. Anny 6.



AKTUALNE WYDAWNICTWA.

Ziembicki W., Zdrowie i niezdrowie Jana Sobieskiego, Poznań 1931. Cena 5 zł.

Obszerna praca archiwalna, rzucająca wiele nowego światła na prywatne życie Sobieskiego od dzieciństwa, aż do śmierci. Autor opublikował tu m. i. po raz pierwszy nieznany diarjusz z królewskiego dworu.

Tenże. Założenie klasztoru i szpitala OO. Bonifratrów we Lwowie, Lwów 1932 z 2 ilustr. Cena 3 zł.

Praca, zawierająca szczegóły historyczne fundacji Sobieskiego, przeznaczonej już przez niego dla chorych i rannych żołnierzy — dzisiejszego szpitala okręgowego W. P. we Lwowie.

Tenże. Nieznana relacja o śmierci Jana III. Lwów, 1933. Nakład ograniczony (25 egz.). Cena 2 zł.

Rzecz oparta na zupełnie nieznanych źródłach archiwalnych.

Tenże. Jan Sobieski jako myśliwy. Lwów 1926. Zupełnie wyczerpane w handlu. Okazyjnie reszta nakładu. Cena 3 zł.

DO NABYCIA W KSIĘGARNI OSSOLINEUM
Lwów, Ossolińskich 11.



TREŚĆ NUMERU 18:

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 9·— złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedynczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 120 zł., 1/2 str. 60 zł 1/4 str. 30 zł., 1/8 str. 15 zł., 1/16 str. 7 zł. — Ogłoszenia na pierwszej stronie o 50% drożej. Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 15 gr. za wyraz, tłusty druk, grube litery po 20 gr. Najmniejsze ogłoszenie zł. 2. Znaki pisarskie liczy się za wyrazy.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, I p. schody 5 drzwi Nr. 44 (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) Godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małop. Tow. Łow. we wtorki i piątki o godz. 12-tej Redakcja nie zwraca rękopisow już drukowanych i zastrzega sobie konieczne zmiany i skróty
Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839. — Telefon Nr. 18-59.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego

Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 4-32